

**Kura z amuletem nr 101 (fragmenty)**

Staram się, na ile mogę, bojkotować transport publiczny i do tramwaju bądź autobusu wsiadam jedynie wówczas, gdy zmuszają mnie do tego okoliczności. To, co się wyrabia w środkach miejskiej komunikacji przechodzi bowiem wszelkie pojęcie. Otóż ludzie właczają do nich swoje korpusy, uiszczając stosowną tranzytową opłatę, te zaś ulegają TRANSPORTOWI do miejsca docelowego, gdzie zostają rozładowane. Następuje w trakcie tego procesu tak monstrualne nagromadzenie łysin, taka kumulacja brodawek, drugich podbródków, wypaczonych zgryzów, zmarszczek pieczołowicie zatkniętych mieszaniną pudru i kremu Nivea, oraz przykrych fizjonomicznych dysproporcji, iż zabija na miejscu każdą cząsteczkę serotoniny w mojej biednej krwi.

(...)

I tak, w każdy poniedziałek zmuszam się do ignorowania wspomnianej awersji wobec komunikacji masowej, by powrotny ze szkoły autobus dzielić z dziewczyną imieniem Sylwia. Znalazłszy się w tej przestrzeni zamkniętej do dwóch osób, zewsząd otoczony statystami, cały mój wysiłek mentalny wkładam w odkrycie punktu podparcia, który pozwoliłby złamać milczenie zalegające w powietrzu między nami. „Dajcie mi punkt podparcia a poruszę Ziemię” mawiał Archimedes. Takoż i ja wierzę, że gdzieś w językowych otchłaniach istnieje konfiguracja słów i zdań, która w tej konkretnej sytuacji uczyniłaby mnie w jej oczach godnym zainteresowania, podziwu i nawet - pożądania.

(...)

Miarowe buczenie silnika autobusu jest mi odliczaniem; drzewa uciekające w tył na poboczu drogi podziałką na skali uciążliwości obopólnej ciszy. W końcu nadchodzi moment, punkt krytyczny, gdy każda kolejna sekunda milczenia byłaby aberracją, wytrąceniem z kolein normalności, gdy

milczenie przestaje być jedynie brakiem rozmowy, a nabiera własnej treści, staje się milczeniem na temat niemożności mówienia, przyznaniem do porażki, ugięciem pod ciśnieniem wzajemnego niezrozumienia.

(...)

Czyszcząc w szkolnej łazience twarz z pomocą wacika nasączonego tonikiem Clean&Clear patrzę na siebie. Szukam piękna. Rytuał powtarzany dziesiątki razy w ciągu dnia, tak dalece w krew mi wniknął iż stał się całkiem machinalny. Z szyb mijanych na ulicy samochodów, sklepowych witryn, oszklonych gablot z trofeami wiszących w szkole, nade wszystko zaś luster każdego kształtu i rozmiaru, czynię na poczekaniu ołtarze i kapliczki, w których ubóstwiam własną cielesność. Głębia błękitu oczu moich nad wyraz jest błękitna głębią swoją. Brwi moich rozstaw doskonały. Zarysu szczęki dolnej kanciastość, tak niedawno nabyta, męska i zdecydowana, wzbogacona jeszcze zadbanym zarostem, bynajmniej już nie młokosowatym. Świadomość moja omija chwilę, którą poświęcam przekonaniu siebie, iż nos mój nie jest za duży, że nos mniejszy nie współgrałby zupełnie z resztą mej twarzy, że zresztą wcale nie jest on wielki, a jedynie semicki, co brzmi wszak znacznie lepiej.

(...)

Reszta dnia w szkole zlatuje mi na picciu herbaty. W ogóle, picie herbaty jest mym głównym w tym miejscu zajęciem. Jest darmowa, dwa parujące samowary stoją na drugim piętrze, jeden z herbatą słodką, drugi z niesłodzoną. Ja, naturalnie, pijam tę drugą. Świeży plastikowy kubeczek napełniam z reguły w trakcie każdej przerwy, te zużyte zaś przechowuję, tak, iż pod koniec dnia mogę ułożyć z nich na mej ławce okazały rząd. Szczególnie owocne pod względem kolekcjonowania kubeczków są wtorki i środy właśnie, gdyż mój plan zajęć na te dni opiewa na dziewięć godzin lekcyjnych. Licząc zatem po jednym kubeczku na przerwę, w tym średnio dwa na przerwę śniadaniową, i czasem jeszcze jeden przed lekcjami (nie zawsze herbata gotowa jest tak wcześniej) rząd kubeczków na ostatniej lekcji może sięgać dziewięciu,

dziesięciu pozycji. Wówczas, gdy najdzie mnie nuda bądź do nauki ogólne zniechęcenie, lubię resztki wystygłej już herbaty przelewać z jednego do drugiego kubka, czasem zlewając wszystką ciecz do pojedynczego naczynia, innym znów razem rozlewając ją równo po wszystkich, co wygląda, jak gdybym szykował degustację. W dni szczególnego niewyspania pozwalam sobie na wypicie kawy, za którą niestety muszę zapłacić złoty dwadzieścia w stojącym na korytarzu automacie. Wydatek jednak zwraca się z nawiązką, jako iż po konsumpcji wzbogacony jestem kubeczkami innego kształtu i faktury, niż te od herbaty, z zielonym napisem „Jacobs”. Kubeczek ten staram się zawsze ustawić na miejscu honorowym, pośrodku mojej kolekcji. Czasem jednak nawet tak wyrafinowane konfiguracje nie satysfakcjonują mnie w pełni. Biorę wówczas dowolny kubeczek i metodycznie odzieram z niego wążutkie paski plastiku, pozostawiając je wszak umocowane przy denku. Trochę, jakbym obierał plastikowego banana, włókno po włóknie. Kilka minut takiej aktywności przynosi efekt w postaci kubkowej stokrotki, bądź też, gdy ją odwrócić i nieco rozcapierzyć, kubkowego pająka o wielu odnóżach. Z ich to pomocą urozmaicam swój zbiorek, a nieraz wręcz tworzę skomplikowane konstrukcje typu wież, kominów, mątw, etc.

Inną moją szkolną działalnością równie niebagatelnego znaczenia jest rysowanie kur. Z reguły rysuję je na tablicy w przerwach pomiędzy lekcjami, jak partyzant tocząc graficzną walkę nerwów z pedagogicznym okupantem. Czasem też kury pojawiają się na cudzych zeszytach, kserówkach, piórnikach, na gazetce ściennej, na chusteczce niedbale rzuconej pod ławkę. Nie są to takie sobie zwykłe, banalne kury. Są to kury z amuletem; każdej z szyi zwisa pentagramowy (zazwyczaj, choć bywają wyjątki) naszyjnik. Większość też opatrzona jest swym unikatowym numerem, podpisuję je „Qra z amuletem XXX” gdzie XXX reprezentuje konkretny numer w serii kur z amuletem, którą to serię zapoczątkowałem jeszcze w gimnazjum. Od tego czasu kury towarzyszą mi gdziekolwiek się pojawię; sporo pozostawiłem za sobą w Stanach

Zjednoczonych, tym samym uczyniwszy moją serię nie tylko międzynarodową, ale i interkontynentalną, wręcz transatlantycką. Czasem ze szczególną szczodrością obdarowuję kogoś kurą z zaleceniem baczego przechowywania jej, gdyż za lat trzydzieści, zapewniam, będą moje kury warte mnóstwo pieniędzy. Mym ulubionym egzemplarzem jest Qra z amuletem nr 101, gdzie absolutnie nowatorsko skrzyżowałem kurze nogi. Numer 101 posiada też przymrużone powieki, dość rzadki atrybut, zaś pentagram w jego amulecie jest odwrócony, atrybut jeszcze rzadszy. Lekko postrzępione pióra na czubku głowy były w czasie jego tworzenie pewną nowalijką, teraz jednak weszły na stałe do kanonu. Qra 101 jest też w tym rzadka, że stanowi część eksperymentalnej serii rysowanej w Paint'cie, zatem nie posiada swego oryginału. Jeden z wydruków mam zawieszony nad łóżkiem, wizerunek Qry nr 101 widnieje też na froncie jednej z moich koszul.

(...)

Wpadam tylko do domu po pieniądze i tramwajem jadę do centrum handlowego, by rozkoszować się kapitalizmem. Sklepy z ciuchami mają tę wspaniałą właściwość, iż przechadzając się między stoiskami z zachodnią odzieżą jesteś skłonny uwierzyć, że wystarczy wydać sto pięćdziesiąt złotych na koszulę, dwieście na spodnie, sto dwadzieścia na sweter, a będziesz wyglądać jak jedno z bożyszczy eksponowanych na plakatach, którymi wytapetowane są butikiki. Transakcja pozbawi cię wągrów na nosie, zgryz wyprostuje się, tyłek stanie się ikoną seksapilu. Niestety. Żaden ciuch nie upiększy brzydkiego ciała, żaden makijaż nie ozdobi twarzy z natury nieładnej. Efekt bywa najczęściej odwrotny, gdy usilnie maskowana brzydota przebija przez poprawiający naturę kokon, jak zapaszek zgnilizny przenika panierkę najzmyślniej spreparowanej ryby. Takie zapaszki, smrodki i sugestie stokroć są gorsze od odorów i widoków jawnie odpychających. Brzydota udająca piękność jest żałosna, drży o każdy płatek pudru mogący odsłonić nadgniłą tkanę. Brzydota pogodzona i zżyta ze sobą przemienia się w siłę.

Zabawne, myślę, iż w moim świecie krańcowo płynnym, relatywnym do granic relatywizmu, świecie bez wyższej instancji Pana Boga, estetyka zakotwiczona jest tak stabilnie. Powiedz mi, iż ktoś jest zły, a dialektycznie dowiodę jego dobra, a najpewniej podważę istnienie zła w ogólności. Powiedz mi, że miłość najwyższą jest z wartości, bądź patriotyzm, bądź macierzyństwo, a wyśmieję cię i dowiodę zupełnych przeciwieństw, a najpewniej wykażę bezsens istnienia wartości jako takich. Jednak powiedz mi, iż ktoś jest piękny, a będę mógł tylko przytaknąć, bądź zaprzeczyć. Nie pomoże żadna dialektyka, żadne wymawianie się kulturowymi wzorcami. Granica jest ścisła i szczelna, choć nie potrafię wskazać, gdzie przebiega.

Kupuję sweter, w którym szczególnie mi do twarzy, dwie koszule oraz podkoszulek. Pozwalam, by zakupy te poprawiły mi humor. Wracam do domu piechotą i w świetnym nastroju. Jestem materialistą, zarówno w filozoficznym jak i potocznym rozumieniu tego pojęcia. Filozoficznie, gdyż wzorem Tomka Hobbesa sądzę, że wszechświat jest tylko mnogością krążących cząsteczek. Potocznie, gdyż uwielbiam luksus. Wyznaję materializm, by móc się wygodnie oddawać idealizmowi. Pieniądze nie dają szczęścia; one tylko wynoszą powody naszej nieszczęśliwości na płaszczyzny mniej przyziemne. Wszelako przyjemniej jest kontemplować swe tragiczne zakochanie czy inne egzystencjalne bóle siedząc w kąpielni pełnej wonnej piany niżli pod zagrzybionym prysznicem.

***Kura z amuletem nr 101 została nagrodzona pierwszym miejscem w I Konkursie Literackim o nagrodę Fan Fila organizowanym przez Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu.***